

„Zmierch peryna” w Operze Poznańskiej

Po warszawskiej przedwójnej premierze „Legendy Bałtyku” mego ojca recenzent Regamey w fastyżującym „Prosto z masy” atakował m. in. jej libretto starostwiańskie. Tuberdził miłanowicie, że stanowi ono niepotrzebną analogię do starogermańszczyzny Wagnera. Tego rodzaju sądy jednakże się zdezaktualizowały. Najmowszym tego dowodem — poznańska premiera opery Zbigniewa Penherskiego, opartej na „Starej baśni”. Tytuł muzycznego opusu „Zmierch peryna” (czyli świętego drzewa) niedwuznacznie wskazuje na „Zmierch bogów” mistrza z Bayreuth...

„Zmierch” Penherskiego może nieprzydatkowo zaprezentowano właśnie w Poznaniu. Nasza piastowska ośgi stolica lubi tematykę starostwiańską czy prapolską i chętnie do niej powraca. Po już wspomnianej „Legendzie Bałtyku” nota bene prawykonywanej w Poznaniu roku 1924, nastąpił „Swantevit” Perkowskiego, kantaty Poradowskiego i Woźniaka, jak również manifestacje literackie i piastyczne (ostatnio „Wene-

downie”). Autor „Zmierchu” uczył się przez pewien czas u Poradowskiego. Odzęgnął się jednak od wszelkiego neoromantyzmu, impresjonizmu, jak również od neoklasycyzmu swojego profesora. Penherski współzawodniczy z Pen-dereckim, „Peryn” z „Diablami w Loudun”. W poznańskiej partyturze zostały zastosowane ultrawspółczesne środki ekspresji aż do aleatoryzmu szalejącej perkusji włącznie. Chór nie tylko śpiewa, ale i krzyczy, klaszcza, przystępuje. Zapiszmy na plus, że Penherski niewątpliwie wychwycił scenę.

Piętą Achillesową wydadają się być libretto. Krystyna Meissner namotała w nim chyba za dużo wętków i konfliktów. Pogański kapitan wojuje z czarodziejką, czarodziejka z dziewczyną, księżką z Brunhildą z konkurentkami politycznymi. Głównym aktorem jest u Penherskiego chór, który z natury rzeczy zamazuje słowa. Fakt ten dodatkowo utrudnia rozumienie akcji bez ciągłego zaglądania do programu. Nieustanne napięcia, niejasności treściowe, nadużycie dynamiki przez

kompozytora powodują pewną monotonię i znużenie w starszym akcie II. Wydaje się, że dla trwałości dzieła powinno ono być przez autorów raz jeszcze krytycznie przejrane a może nawet skrócone do rozmiarów półspektaklowki czy jednoaktówki. Przy pewnych zastrzeżeniach należą Penherskiego (scenicznie debiutującego „Perynem”) zachęcić do dalszej twórczości operowej, ale także baletowej i oratoryjnej.

Krystyna Meissner lepsza jako reżyser, nareszcie puściła w ruch naszą rdzewiającą obrótówkę. Szczególnie sugestywnie realizuje w III akcie scenę gonienia dziewczyny przez fanatyczny tłum. Tenże akt przyodzi na myśl libretto Walerii Szalay i Jeżewskiej do „Legendy Bałtyku”. Tu i tam widzimy ofiarę z zęła dziewczyny i jej wyrzucenie, po którym następuje onowładanie wybaczący i modlitewny finał. Skądinąd znakomity scenograf Krzysztof Pankiewicz tym razem przeladał swoją kompozycję nie porostawiając w niej żadne pustki, na które mógłby wypożyczyć oko. Kapłanki

z II aktu poubierał w wtelki biały pokrowiec, pod którym wyglądają niby zjawy z seansów spirytystycznych lub obłoki na niebie.

Choreografia Barbary Kasprovicz ani przez chwilę nie wywołuje wrażenia tradycyjnej tzu wkładki. Balet doskonale wtapia się w chór. Noc Kupaty nasładowe tańce kopulacyjne Drzewickiego (Albignoni!). Improwizacji w orkiestrze odpowiada ruchowa na scenie, jakoś zdolnie sterowana przez Kasprovicz. Nie podejrzewałem dyrygującego dyrektora Jana Kulaszewicza o tak orgiastyczny temperament. Przygotował premierę z dużym oddaniem się sprawie polskiej opery współczesnej. Spośród solistów stosunkowo najwdzięczniejszą rolę otrzymała E. Werka (dziewczyna). W dobrej formie wokalne znajduje się A. Kawecka (Brunhilda). W kierunku odpowiedzialnego buffo poprawił swą kreację, choć ba szczęśliwie rozdał wciągający ponurackie na stroje H. Łukaszek (kapłanki). Władzimy wchłania grała Z. Baranowicz (kapłanka) — J. Tomicki.

F. M. NOWOWIEJSKI